

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

5

„Niewidzialni“.

Jerzy Darvel obudził się w doskonałym usposobieniu. Rzechy można, że delikatna ręka snu zmioła z jego czoła wszystkie wątpliwości i myśli niepokojące. Umysł jego, wypoczęty i świeży, gotów był do rozwiązania najtrudniejszych zagadnień naukowych i Jerzy czuł, że i on przyczynić się może jaką cegiełką do ogromnego gmachu wiedzy, budowanego przez brata i jego przyjaciół. Rozmyślając nad dogodnymi dla siebie warunkami pracy, zabezpieczonej od trosk materyalnych, dzięki wspaniałomyślności miss Alberty, czuł dla niej ogromną wdzięczność i uznanie i przysiął sobie, że okaże się godnym jej zaufania.

W tym to stanie umysłu udał się do laboratorium o wczesnej bardzo godzinie. Znalazł tam kapitana Wada, zajętego pracą wspólnie z Zarukem.

Jerzy zabrał się pod kierunkiem kapitana do pracy, której dzień cały oddał się bez wytchnienia z entuzjazmem.

Dnia tego upał był szalony; powietrze było duszne i przepełnione elektrycznością: trzeba było użyć wszystkich wentylatorów, aby uczynić atmosferę w laboratorium znośniejszą.

W dniu tym w poobiednich godzinach wydarzył się najdziwniejszy fenomen, jaki dotąd nauka mogła zaobserwować.

Kapitan Wad był właśnie zajęty demonstrowaniem Jerzemu jednego oryginalnego przez niego odkrycia.

— Widzi pan — mówił — tę kadź szklaną; płyn w niej znajdujący się ma tę właściwość, że dozwala nam widzieć pewne niewidzialne promienie, gdy go niemi oświetlimy, na przykład pozwala nam doskonale dostrzedz promienie X...

Tu kapitan nagle był zmuszony przerwać swoją demonstrację.

Zaruk, stojący dotąd w milczeniu za Jerzym Darvel, wydał przeraźliwy okrzyk grozy.

— Dzin! dzin! — wołał głosem zachrypłym i drżącym i ruchem szalonego przerażenia wskazywał na kadź szklaną.

Płyn w niej zawarty falował, jak gdyby za dotknięciem wiatru...

Twarz murzyna przybrała barwę popielatą i drgała nerwowym, bezwiednym kurczem.

Obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

Murzyn odsunął się, jak mógł najdalej od kadzi; włosy zjeżyły mu się na głowie, a oczy rozwarły szeroko, poruszały się szybko, jak gdyby miały wyskoczyć z oczodołów!

— Panie! panie! — wyszeptał zbladłymi wargami.

— Ale cóż ci jest znowu, idyoto! — zawołał zdenerwowany Ralf Pitcher. — Mówże do dyabła! Czyś oszalał?

Ale murzyn stał osłupiały, bełkocząc coś niezrozumiałe.

— Wytłómacz mi, co ci się stało — rzekł Pitcher łagodniej. — Cóż cię tak przerażyło? Mówiłem ci już tyle razy, że człowiek nigdy niczego obawiać się nie powinien!

Zaruk rozpaczliwie potrząsnął głową. Nogi drżały pod nim i pomału, jak gdyby kierowany jakąś wyjątkową siłą, cofać się zaczął od kadzi kryształowej, błyszczącej teraz w promieniach słońca, jak ogromna gwiazda opalowa.

— Został zahipnotyzowany, na honor! — zawołał inżynier Boleński, wzruszając nerwowo ramionami.

— Cicho bądź — szepnął Ralf Pitcher, ściskając silne ramię niecierpliwego przyjaciela.

Ralf Pitcher był silnie wzruszony.

— Kto wie — rzekł, zniżając głos do szeptu — czy ten niewidomy, o tak niecodziennym organizmie, nie widział jakiejś istoty, której nasze źrenice, oślepione brutalnym światłem dnia, dostrzedz nie mogą? Często już myślałem o tem: Jeżeli są promienie X, dlaczegooby być nie miały istoty X...? istoty dla nas niewidzialne? Przypuszczenie to jest śmiałe, ale prawdopodobne...

Kapitan Wad nie słuchał już słów towarzysza. Podbiegł do aparatu optycznego, swojego wynalazku, ustawionego naprzeciw kryształowej kadzi, a który specjalnie był skonstruowany dla doświadczeń nad promieniami X. Polewa zwierciadeł, złożona z kilku warstw ruchomych, wibrowała, jak gdyby poruszona nerwowymi splotami i dokompletowana była kilkoma zasłonami, przepojonemi substancjami, wrażliwymi na promienie słoneczne, niż najdelikatniejszy aparat fotograficzny.

— Gdyby to było możliwe! — szepnął Ralf Pitcher.

— Zaraz się o tem przekonamy — odparł kapitan głosem drżącym od wzruszenia i nagłym ruchem przycisnął guzik elektryczny.

W jednej chwili ciemność zaległa pracownię. Ciężkie filcowe zasłony nie dopuściły ani jednego promienia światła. Przyłożywszy oko do otworu w aparacie, kapitan Wad patrzył.

Ale pomimo namiętności badacza, pomimo zadowolenia, jakie odczuwał, widząc zrealizowanie najgorętszego swojego marzenia naukowego, cofnął się natychmiast z przerażeniem, wstrząśnięty dreszczem obrzydzenia i trwogi.

Ralf Pitcher, który z kolei spojrział do aparatu, odskoczył jednym skokiem, jak gdyby ujrzał szatana.

W tej chwili zabrzmiał krystaliczny głos w ustach posagu służącego za telefon.

— To ja, Herifa.

— Czego chcesz, moje dziecko? — zapytał kapitan, usiłując głosowi nadać naturalne brzmienie. — Jesteśmy bardzo zajęci w tej chwili... bardzo zajęci...

— Pan Frymcoock pragnie pomówić z panami.

— Ale niechże on nas zostawi w spokoju — zawołał rozgniewany kapitan. — Nie mam czasu na rozmowę z nim o głupstwach! Niech przyjdzie później! Niech zaczeka! Słyszysz, Herifo! Niech przyjdzie później!

I nie czekając na odpowiedź dziewczyny, przerwał komunikację pospiesznie.

Podczas tej rozmowy Jerzy Darvel z kolei zbliżył się do aparatu. I to, co zobaczył, wytłómaczyło mu dostatecznie przerażenie kapitana Wada i Ralfa Pitchera.

Z fosforyzującego płynu kadzi wylaniał się potwór okropny i stał bez ruchu, jak nietoperz wciśnięty w głębię swojego dziennego ukrycia.

Była to masa popielata, zaledwie odcinająca się w ciemności. Oczy były szerokie bez źrenic, głowa nie miała uszów i nosa, tylko usta małe i mocno czerwone, rysowały się krwawą plamą.

Głowa ta o wypukłym, wielkim czole, trzykroć

większa od głowy ludzkiej, otoczona była dwoma płachtami brudnobiałymi, które może stanowiły skrzydła.

Powtór nie miał ciała, tylko przy końcu tej monady galaretowatej poruszał się pęk nóg, rąk lub ssawek — dokładnie tego nie było można odróżnić.

Przerażająca ta istota najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z obecności ludzi i zapewne nie odczuwała ich istnienia. Po pierwszym instynktownym odruchu ucieczki Jerzy Darvel odważnie przyglądał się potworowi i wtedy dostrzegł już wyraźnie dwa brudne białe skrzydła, umieszczone po obu stronach czoła, zwinięte i obwisłe, przypominające wstrętą poczwara olbrzymiego motyla, przedwcześnie wyjętego ze swojej pokrywy.

Jerzym wstrząsnął dreszcz obrzydzenia na myśl, że zapewne ta larwa obrzydliwa musnęła ociemniałego Zaruka w lasach Ain Draham, a którą wziął za dzinna.

Po chwili Ralf Pitcher zajął miejsce Darvela przy aparacie. Uczony dyszał ciężko, trawiony uczuciem szalonej radości i nadludzką odrazą; nie mógł już teraz oczów oderwać od poczwary, której widok magnetyzował go po prostu.

Po chwili uczuł jakieś nieprzyjemne uczucie, ogarniające całe jego ciało.

Więc to były te odpychające istoty, te wstrętne mikroby o demonicznych twarzach, które żyły na ziemi i w głębinach morskich, strasząc ludzi swoim niewidzialnym dotknięciem?

Uczeni, przejęci tą samą myślą, stali bez ruchu w ciemnej pracowni, oświetlonej zaledwie bładem światłem fosforyzującej kadzi szklanej. I zaczęli żałować, że dobrowolnie uchylili rąbek tajemnicy, ukrywającej takie straszne rzeczy!

Jeden tylko Boleński rozmyślał nad sposobem pochwylenia okropnego zjawiska.

Nagle zapukano dyskretnie do drzwi.

— A tam kto do dyabła? — zawołał kapitan Wad. — Ani chwili spokoju mieć tu nie można! Zapukano powtórnie.

— Kto tam? — zapytał Ralf Pitcher.

— To pan Frymcoock — odpowiedział lęklwym głosem murzyn.

— No, to otwórz mu prędko, niech się dowiemy, czego chce od nas. Załatw się z nim szybko.

Wydając ten rozkaz, Pitcher równocześnie przycisnął guzik elektryczny; firanki filcowe rozsunięły się, dając przejście światłu, które jasnymi potokami oblało pracownię. Wszyscy obecni zwrócili się w stronę kadzi. Powierzchnia jej teraz, gładka jak tafia lodu, promieniała tysiącami blasków.

Wszedł master Frymcoock, wytworny i elegancki, w garniturze czarnym i stanął na środku pracowni. Szeroki uśmiech rozjaśniał jego twarz melancholijnego kłowna.

— Panowie — rzekł grzecznie — wybaczcze, że przychodzę zakłócać wasze poważne doświadczenia, ale czuję się w obowiązku zawiadomić panów, że miss Alberta powróci dopiero późno w nocy, a nie wieczorem, jak to oznajmiła. Otrzymałem w tej chwili telegram z Malty.

Mówiąc to, lord kuchmistrz bezwiednie posunął się w stronę kadzi i podniósłszy z uśmiechem rękę, obciążoną pierścieniami, przyglądał się grze barw kamieni, odbijającej się na gładkiej powierzchni.

— Nie przybliżaj się pan! — huknął z całej siły inżynier Boleński. — Oddal się, na miłość boską! Nie możesz wiedzieć, co tam się znajduje!

Ale ostrzeżenie przyszło za późno; ręka pana Frymcoocka została brutalnie przyciągnięta przez wstrętnego potwora i zanurzona w płynie kadzi.

My wszyscy pi- iemy Biomalz

